

Amy Foster



JOSEPH CONRAD

Amy Foster

TLUM. ANIELA ZAGÓRSKA

Kennedy jest wiejskim doktorem i mieszka w Colebrook, na wybrzeżu Eastbay. Pagórek wznoszący się stromo za czerwonymi dachami miasteczka wygina dziwnie High Street i przyciska ją do tamy, która broni mieszkańców przed morzem. Za tamą wije się na całe mile rozległym i kształtnym zakolem jałowy brzeg pokryty grubym żwirem, ze wsią Brenzett — wyglądającą po drugiej stronie wody jak ciemna grupa drzew z dzwonnica w pośrodku; dalej zaś prostopadła kolumna morskiej latarni, nie większa z daleka od ołówka, wskazuje, gdzie ląd się kończy. Za Brenzett ciągnie się płaska nizina, lecz zatoka jest doskonale osłonięta od fal i zdarza się niekiedy, że jakiś duży statek, oczekujący na pomyślny wiatr lub też zagnany przez niepogodę, zarzuca kotwicę półtorej mili na północ — licząc odległość od tylnych drzwi gospody „Pod Okrętem” w Brenzett. Rozwalony wiatrak w pobliżu, wznoszący poharatane skrzydła z pagórka nie wyższego od kupy śmieci, i wieża Martello przykucnięta u skraju wody, pół mili na południe od domków straży nadbrzeżnej, dobrze są znane szyptom małych statków. Są to oficjalne wodne znaki, rozgraniczające obszar dobrego gruntu kotwicznego, który to grunt przedstawiany jest na mapach admiralicji jako nieregularny owal z kropek, z kilku rozsianymi po nim szóstkami, małą kotwiczka na środku i napisem: „Muł i muszle”, biegnącym poprzez owe kropki.

Szczyt płaskowzgórza góruje nad czworokątną wieżą kościoła w Colebrook. Zbocze jest zielone i przewiązane białą drogą. Idąc tędy w górę, wchodzi się do szerokiej i płytkiej doliny, rozległego zielonego jaru z pastwiskami i płotami, które stapiają się w zamykającej widok perspektywie o tonie fioletowym i falujących liniach.

Ta dolina dochodzi do Brenzett i Colebrook, a wznosi się aż do Darnford, targowego miasteczka oddalonego o mil czternaście. Jest to teren pracy mego przyjaciela Kennedy’ego, który zaczął praktykować jako doktor w marynarce, a potem był towarzyszem pewnego znakomitego podróżnika, w czasach kiedy istniały jeszcze kontynenty o niezbadanym wnętrzu. Referaty doktora o faunie i florze zdobyły mu sławę w kołach naukowych. A teraz zajął się praktyką wiejską z własnego wyboru. Potężna przenikliwość jego ducha, działająca jak żrący płyn, zniszczyła snadź¹ jego ambicję. Inteligencja Kennedy’ego należy do rzędu naukowych; badawcza z nawyku, odznacza się tą nienasyconą ciekawością, która wierzy, że każda tajemnica kryje w sobie część ogólnej prawdy.

Kennedy zaprosił mnie kiedyś do siebie przed wielu laty, po moim powrocie z zagranicy. Przyjechałem bardzo chętnie, a że nie mógł zaniedbywać pacjentów dla dotrzymania mi towarzystwa, zabierał mnie na swoje popołudniowe objazdy, które wynosiły czasem około trzydziestu mil. Czekałem na niego na drodze; koń sięgał po liściaste gałęzie, a ja tkwiłem na wysokim siedzeniu dwukółki i przez na wpół otwarte drzwi jakiejś chaty słyszałem śmiech Kennedy’ego, głośny, serdeczny, który by pasował do mężczyzny dwa razy większego. Kennedy miał żywe obejście, ogorzałą twarz i siwe, niezmiernie bystre oczy; miał również talent wyciągania ludzi na swobodną rozmowę i niewyczerpaną cierpliwość w słuchaniu ich opowiadań.

Pewnego dnia, gdy wyjeżdżaliśmy klusem z dużej wsi, kierując się ku cieniejszej drodze, zobaczyłem po lewej stronie niską, czarną chatę, z małutkimi szybkami w oknach, pnącymi roślinami na tylnej ścianie, gontowym dachem i różami, które wiły się z rzad-

¹snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

ka po zniszczonej kracie wystawki. Kennedy ściągnął lejce i koń przeszedł w stępa². W pełnym słońcu stała kobieta i zarzucała ociekającą wodą derkę na sznur przeciągnięty między dwiema starymi jabłoniemi. A gdy kurtyzowany³ kasztan o długiej szyi, wrywając się naprzód, szarpnął lewą ręką doktora obciągniętą w grubą, skórzaną rękawiczkę, ten zawołał poprzez plot do kobiety: „Jakże tam twoje dziecko, Amy?”

Miałem czas przypatrzeć się jej tępej twarzy — czerwonej, ale jakby nie od naturalnego rumieńca, tylko od tęgiego policzka; zapamiętałem również jej kręłą postać i rzadkie, ciemnobrunatne włosy, ściągnięte w ciasny węzeł z tyłu głowy. Wyglądała zupełnie młodo. Głos jej brzmiał cicho i nieśmiało; brak jej było tchu.

— Chłopiec zdrów, dziękuję panu.

Pojechaliśmy dalej klusem.

— Pan pytał pewnie o jakiegoś małego pacjenta? — rzekłem, a doktor, zacinając z roztargnieniem kasztana, mruknął:

— Jej mąż był dawniej moim pacjentem.

— Robi wrażenie istoty bardzo ograniczonej — zauważyłem od niechcienia.

— Otóż to właśnie — rzekł Kennedy — jest bardzo bierna. Dość spojrzeć na te czerwone ręce, wiszące u końca krótkich ramion, na nieruchawe, wypukłe piwne oczy, aby zdać sobie sprawę z inercji jej ducha — inercji, która powinna była zabezpieczyć ją na zawsze przed wszelkimi niespodziankami wyobraźni. A jednak któż z nas jest bezpieczny? W każdym razie Amy, taka, jak ją pan widzi, miała dość wyobraźni, aby się zakochać. Jest córką niejakiego Izaaka Fostera, drobnego farmera, który zjechał na owczarza; początek jego nieszczęść datuje się od chwili, gdy uciekł z kucharką swego ojca, zamożnego hodowcy bydła, wdowca skłonny do apopleksji; w pasji wykreślił z testamentu imię syna i odgrażał się, że go zabije. Ale ta stara historia, dość skandaliczna, by służyć za temat do greckiej tragedii, wyrosła z podobieństwa ich charakterów. Są inne tragedie, mniej skandaliczne a subtelniejsze i bardziej przejmujące, które powstają wskutek niedających się pogodzić rozdzwieńców i trwogi przed Niezrozumiałym, co wisi nad głowami nas wszystkich — nas wszystkich...

Zmęczony kasztan przeszedł w stępa, a brzeg tarczy słonecznej, całej czerwonej na niebie bez skazy, zetknął się poufale z gładkim szczytem zoranego pagórka blisko drogi, podobnie jak stykał się w moich oczach niezliczoną ilość razy z odległym morskim horyzontem. Jednostajna brunatność zbronowanego pola żarzyła się różową barwą, jak gdyby sproszkowane grudy wypociły w drobnutkich perełkach krwi znój nieprzeliczonych oraczy. Od skraju zagajnika wóz zaprzężony w dwa konie toczył się z wolna wzdłuż grzbietu wzgórze. Wzniesiony na widnokregu ponad naszymi głowami, rysował się na tle czerwonego słońca triumfalnie wielki, ogromny, jak rydwan olbrzymów, ciągniony przez dwa stąpające z wolna rumaki o fantastycznych rozmiarach. A niezdarne postacie człowieka kroczącego ciężko przed lejcowym koniem, odcinała się na tle Nieskończoności niby jakiś olbrzymi dziwotwór. Koniec bicia woźnicy drżał wysoko w błękicie. Kennedy się rozgadał:

— Amy jest najstarszą z licznej rodziny. Kiedy miała piętnaście lat, oddali ją na służbę do New Barns Farm. Leczyłem panią Smith, żonę dzierżawcy, i tam zobaczyłem Amy po raz pierwszy. Pani Smith, wykrygowana osoba o ostrym nosie, kazała jej zawsze kłaść czarną suknię po południu. Nie wiem, z jakiego powodu w ogóle tę dziewczynę zauważyłem. Są twarze, które przyciągają uwagę przez dziwny brak czegoś określonego w wyglądzie; tak samo idąc wśród mgły jesteśmy czasem pociągnięci przez jakiś niewyraźny kształt, który może się okazać czymś równie mało ciekawym i osobliwym jak słup przydrożny. Jedynym znakiem szczególnym, jaki w niej zauważyłem, było lekkie zacinięcie się, coś w rodzaju jąkania, które mijało po wymówieniu pierwszego słowa. Gdy się kto ostro do niej zwrócił, gotowa była stracić głowę natychmiast; ale serce miała złote. Nie słyszano nigdy, aby wyrażała się nieprzyjaźnie o jakiegokolwiek ludzkiej istocie, a odnosiła się z tklivością do wszelkich żyjących stworzeń. Przywiązała się do Smithowej, do Smitha, do ich psów, kotów, kanarków; a co się tyczy szarej papugi Smithowej, szczególne właściwości zamorskiego ptaka wywierały na nią prawdziwy urok. Lecz kiedy papuga

Kobieta, Miłosierdzie,
Rozum

²stępa — najwolniejszy chód konia. [przypis edytorski]

³kurtyzowany koń — koń po kurtyzowaniu, tj. zabiegu operacyjnym mającym na celu skrócenie ogona blisko jego nasady. [przypis edytorski]

napadnięta przez kota skrzeczała o pomoc ludzkim głosem, Amy wypadła na podwórze z zatkanyimi uszami i nie zapobiegła zbrodni. Dla Smithowej stanowiło to jeszcze jeden dowód głupoty Amy; z drugiej jednak strony brak wdzięku służącej był wielkim plusem wobec znanej frywolności Smitha. Krótkowzroczne oczy Amy napelniały się łzami litości na widok biednej myszy schwytej w pułapkę, a raz kilku chłopców widziało dziewczynę, jak kłęczała w mokrej trawie, opiekując się ropuchą w opałach. Jeśli to prawda, że — jak powiedział pewien Niemiec — nie ma myśli bez fosforu, jeszcze głębszą prawdą jest, że nie ma dobroci bez pewnej dozy wyobraźni. Amy miała trochę wyobraźni. Miała jej nawet więcej, niż trzeba, aby zrozumieć cierpienie i przejmować się litością. Zakochała się wśród warunków, które nie zostawiają pod tym względem żadnych wątpliwości; albowiem trzeba wyobraźni, aby w ogóle sobie stworzyć pojęcie piękna, a tym bardziej, aby odkryć swój ideał w niezwyklej postaci.

Jak w niej powstała ta możliwość i co sprzyjało jej rozwojowi, jest niezgłębną tajemnicą. Amy urodziła się w tej wsi i nigdy nie wyruszała z niej dalej niż do Colebrook lub może do Darnford. Służyła przez cztery lata u Smithów. New Barns jest osamotnioną fermą położoną o milę od drogi i Amy dzień w dzień zadawała się widokiem tych samych pól, dolinek, wyniosłości, tych samych drzew i żywopłotów, a także i twarzy czterech fernali pracujących w fermie, zawsze tych samych — dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Nie zdradziła się nigdy z chęcią rozmowy i jak mi się zdawało — nie umiała się uśmiechać. Czasami w piękne niedzielne popołudnie wkładała najlepszą suknię, grube trzewiki, duży popielaty kapelusz ozdobiony czarnym piórem (widziałem ją w tym stroju), chwyciła śmiesznie długą i cienką parasolkę i minawszy dwie kładki, wędrowała przez trzy pola oraz dwieście jardów drogi — nigdy dalej. Stała tam chata Fosterów. Amy pomagała matce poić herbatą młodszą dzieciarnię, po czym myła naczynia, całowała dzieci i wracała na fermę. To było wszystko. Cały jej wypoczynek, cała rozmaritość, całe wychnienie. Zdawała się nigdy niczego więcej nie pragnąć. A potem zakochała się. Zakochała się skrycie, uporczywie — może bezwolnie. Przyszło to powoli, ale kiedy już nią oświadczyło, działało jak potężny czar; była to miłość, jak ją rozumieli starożytni — władczy, nieuchronny poryw — opętanie! Tak, ona miała w sobie tę zdolność poddania się czarowi czyjejś twarzy, czyjejś obecności, nieodparcie, jakby była pogańską czcicielką kształtu pod radosnym niebem — i w końcu ocknęła się z tego tajemniczego zapamiętania, z tego czaru, z tych uniesień — wśród trwogi podobnej do niepoczytalnego strachu bydłęcia...

Pod słońcem wiszącym nisko u swego zachodniego kresu przestrzeń łąk, ujętych z obu stron w szkarpy wznoszącego się gruntu, oblokła się we wspaniałość i mrok. Uczucie dojmującego smutku, niby natchnione przez jakąś uroczystą melodię, płynęło z ciszy pól. Ludzie, których spotykaliśmy, przechodzili koło nas wolnym krokiem, bez uśmiechu, ze spuszczonej oczami, jakby melancholia przemęczonej ziemi obciążała ich nogi, pochyliła ramiona, wbiła w ziemię oczy.

— Tak — rzekł doktor w odpowiedzi na moją uwagę — można by pomyśleć, że ziemia jest przeklęta, bo ze wszystkich jej dzieci te, które najściślej z nią współżyją, wyglądają nieokrzesanie i mają chód tak ołowiany, jakby ich serca były spętane łańcuchem. Ale tu, na tej samej drodze można było zobaczyć pośród niezdatnych ludzi człowieka zwinnego, giętkiego, o długich członkach, prostego jak sosna, rzekłbyś — rwącego się w górę, jak gdyby serce w jego piersi było lekkie. Może działo się to tylko siłą kontrastu, ale gdy człowiek ten mijal któregoś z tutejszych wieśniaków, stopy jego zdawały się nie dotykać kurzu na drodze. Skakał przez kładki, przemierzał zbocza długim, elastycznym krokiem, który można było rozpoznać na wielką odległość, a oczy miał czarne i świejące. Różnił się tak dalece od ludzi z tych okolic, że jego swobodne ruchy, łagodne, trochę lękliwe oczy, oliwkowa cera i obejście pełne wdzięku — cała jego istota przywodziła mi na myśl jakiś leśny stwór. Przybył stamtąd.

Doktor wskazał batem; ze szczytu zbocza ujrzelśmy ponad rozchwianymi wierzchołkami drzew w parku ciągnącym się obok drogi gładkie morze daleko pod nami, jak posadzkę olbrzymiego gmachu wykładaną pasami ciemnych zmarszczek i spokojnymi smugami blasku, które zlewały się w taśmę szklistej wody u stóp nieba. Leciotki cień dymu z niewidzialnego parowca rozplywał się w wielkiej przejrzystości widnokregu jak

Przestrzeń, Natura,
Melancholia

mgła oddechu na zwierciadle; a bliżej lądu białe żagle nadbrzeżnego statku zdawały się wypływać powoli spod gałęzi i wreszcie oddzieliły się od drzew.

— Rozbił się z okrętem w tej zatoce? — rzekłem.

— Tak; był to rozbitek. Biedny emigrant ze środkowej Europy jadący do Ameryki i wyrzucony przez morze na brzeg podczas burzy. Dla niego, który nic o świecie nie wiedział, Anglia była jak kraj jeszcze nieodkryty. Dopiero po pewnym czasie nauczył się jego nazwy; a jak mi się zdaje, mógł się spodziewać, że znajdzie tu dzikie bestie lub dzikich ludzi. Pełznąć w ciemności po morskiej tamie, stoczył się na drugą jej stronę i wleciał do stawu, gdzie się znów jakimś cudem nie utopił. Lecz walczył instynktownie o życie jak zwierzę schwytane w sieci i to ślepe szamotanie wyrzuciło go na brzeg. Był widać z twardszej gliny, niż się zdawało, jeśli wyżył mimo ciężkiego potłuczenia, nadludzkich wysiłków i trwogi. Opowiadał mi później tą swoją łamaną angielszczyzną, dziwnie podobną do mowy małego dziecka, że oddawał się już Bogu w opiekę, myśląc, że jest na tamtym świecie. I doprawdy — dodawał — skądże miał wiedzieć?

Na czworakach walczył o drogę z deszczem i wichurą i doczołgał się wreszcie między owce zbite w kupę pod żywoplotem chroniącym je od wiatru. Rozbiegły się na wszystkie strony, becząc w ciemności, a on powitał z radością ten pierwszy znajomy głos, który posłyszał na brzegu. Musiała być wtedy jakaś druga nad ranem. Oto wszystko, co wiemy o jego wylądowaniu. Nie przybył on bynajmniej sam jeden. Tylko że jego odrażający towarzysz zaczął wydostawać się na brzeg daleko później, już za dnia...

Doktor zebrał lejce i cmoknął; zjechaliśmy klusem ze wzgórza. Potem prawie natychmiast skręciliśmy pod ostrym kątem na ulicę High Street; dwukółka zaturkotała po kamieniach i byliśmy w domu.

Późnym wieczorem Kennedy otrząsnął się z chmurnego zamyślenia, w którym był pogrążony i powrócił do swojej opowieści. Pałac fajkę, chodził z końca w koniec po długim pokoju. Stojąca lampa skupiała całe światło na papierach leżących na biurku. Siedząc przy otwartym oknie, widziałem po bezwietrznym, upalnym dniu chłodną wspaniałość mglistego morza leżącego nieruchomo pod księżycem. Żaden szept, żaden plusk, żadne skrzyknięcie żwiru, kroki czy westchnienie nie dochodziły z dołu od ziemi, żaden znak życia, prócz woni pnącego jaśminu; a głos Kennedy'ego, który opowiadał za moimi plecami, przedostawał się przez szeroki otwór okienny i znikał w chłodnej, wspaniałej ciszy.

— Dawne relacje z katastrof okrętowych mówią nam o ogromie ludzkich cierpień. Zdarzało się często, że rozbitkowie ocalali od utonięcia tylko po to, aby umrzeć z głodu na jakimś wybrzeżu; inni padali ofiarą gwałtownej śmierci lub niewoli, pędząc latami życie niepewne jutra wśród ludzi, dla których obcość ich była źródłem podejrzeń, niechęci lub trwogi. Czytaliśmy o tych rzeczach budzących wielką litość. Zaiste, ciężko jest człowiekowi, gdy staje się zagubionym, bezsilnym, niezrozumiałym cudzoziemcem o tajemniczym pochodzeniu, rzuconym w jakiś głuchy kąt ziemi. A jednak wśród poszukiwaczy przygód, co ulegali rozbiciu w przeróżnych stronach świata, nie ma chyba ani jednego, któremu przypadałby los tak prosty w swoim tragizmie jak człowiekowi, o którym mówię. Był to najniewinniejszy z miłośników przygód, wyrzucony przez morze w zakątku tej zatoki; widać ją z tego okna.

Ów człowiek nie wiedział, jak się nazywał jego okręt. Z czasem odkryliśmy, że nie wiedział, iż w ogóle okręty mają nazwy — „jak chrześcijanie”, a gdy pewnego dnia ujrzał ze szczytu Talford Hill morze rozpostarte przed sobą, zapatrzył się w dal, ogarnięty niezmiernym zdumieniem, jakby nigdy w życiu nie widział nic podobnego. I pewnie tak było. O ile mogłem wywnioskować, został zapędzony wraz z wielu innymi na pokład statku dla emigrantów przy ujściu Elby; zbyt był oszołomiony, aby zwrócić uwagę na otoczenie, zbyt przemęczony, aby spostrzec cośkolwiek, zbyt niespokojny, by go coś mogło obchodzić. Zagnano ich w dół, do międzypokładu i zamknięto tam od samego początku; znaleźli się w niskim drewnianym pomieszczeniu — opowiadał — z belkami na suficie jak w chatkach w jego kraju, ale schodziło się tam po drabinie. Izba ta była bardzo wielka, bardzo zimna, wilgotna i ciemna, z komórkami na kształt drewnianych skrzyń, gdzie ludzie musieli spać jedni nad drugimi — a wszystko to kołysało się ciągle na wszystkie strony od samego początku. Wczołgał się do jednej z tych skrzyń i położył się tam — w odzieniu, w którym opuścił rodzinny dom przed wielu dniami — trzyma-

Podróż, Samotnik, Obcy,
Chłop

jąc koło siebie swoje zawiniątko i kij. Ludzie jęczeli, dzieci płakały, woda kapiała, światła gasły, ściany trzeszczały, a wszystko trzęsło się tak, że w swojej małej skrzyni człowiek nie śmiał unieść głowy z posłania. Stracił z oczu jedyne go towarzysza (młodzieńca — opowiadał — z tej samej co i on doliny), a przez cały czas słychać było na zewnątrz straszny huk wiatru i ciężkie uderzenia — bum! bum! Napadła go okropna słabość, tak ciężka, że zaniedbywał się w modlitwie. W dodatku nie można było rozpoznać, czy to jest rano, czy wieczór. Zdawało się, że w tej izbie noc trwa bez końca.

A jeszcze przedtem podróżował długi, długi czas po takiej żelaznej drodze. Wyglądał przez okno, które miało dziwnie czystą szybę, a drzewa, domy, pola i długie drogi zdawały się latać i latać wkoło niego, aż mu się zakręciło w głowie. Dał mi do zrozumienia, że po drodze widział niezliczone mnóstwo ludzi — całe narody — a wszyscy byli ubrani w suknie, jakie noszą bogaci. Raz kazano mu wyjść z wozu i przespał noc na ławce w ceglany domu ze swoim zawiniątkiem pod głową; a innym znów razem musiał siedzieć przez wiele godzin na podłodze z płaskich kamieni i drzemał, podniósłszy kolana, trzymając zawiniątko między nogami. Nad nim był dach zrobiony jakby ze szkła, a taki wysoki, że najwyższy z górskich świerków, jakie widział, byłby mógł tam rosnąć swobodnie. Parowe maszyny wjeżdżały z jednej strony, a wyjeżdżały z drugiej. Ludzi roiło się więcej niż w dzień świąteczny naokoło cudownego obrazu na dziedzińcu w klasztorze karmelitów — tam, w dole na równinie — dokąd przed wyjazdem z domu zawiózł drewnianym wózkiem swoją matkę, pobożną staruszkę, która pragnęła się pomodlić i uczynić ślub na intencję bezpieczeństwa syna.

Nie umiał wypowiedzieć, jak wielkie i wysokie było owo miejsce, jak pełne hałasu, dymu i mroku, i szczęku żelaza — ktoś mu powiedział, że ta miejscowość nazywa się Berlin. Potem uderzono w dzwon, przyjechała druga parowa maszyna i znów go wieźli i wieźli przez kraj, który aż męczył wzrok, taki był płaski; nigdzie nie spostrzegano się ani śladu pagórka. Przepędził jeszcze jedną noc, zamknięty w budynku podobnym do porządnej obory, z podściółką ze słomy na podłodze, strzegąc swego zawiniątka wśród mnóstwa ludzi — a nikt nie mógł zrozumieć ani jednego słowa z tego, co mówił. Rano poprowadzono ich wszystkich w dół na kamienny brzeg bardzo szerokiej błotnistej rzeki, płynącej nie wśród pagórków, ale wśród domów, które się wydawały olbrzymie. Była tam parowa maszyna chodząca po wodzie, a oni wszyscy stali na niej ciasno stłoczeni; tylko że teraz prócz nich przybyło jeszcze wiele kobiet i dzieci, które bardzo krzyczały. Padał zimny deszcz, wiatr dmuchał w twarze; przemókł do nitki i szczękał zębami. Wzięli się za ręce z młodzieńcem pochodzącym z tej samej co i on doliny.

Myśleli, że wiozą ich wprost do Ameryki, lecz nagle parowa maszyna uderzyła o bok czegoś, co wyglądało jak wielki dom na wodzie. Ściany tego domu były gładkie i czarne, a z wierzchu wznosiły się, jakby wyrastając z dachu, nagie drzewa w kształcie krzyżów, niezmiernie wysokie. Tak to mu się wówczas wydawało, bo nigdy przedtem nie widział okrętu. To był właśnie statek, na którym mieli płynąć przez całą drogę aż do Ameryki. Rozlegały się krzyki, wszystko się naokół chwiała; była tam drabina, która kołysała się w górę i w dół. Wszedł po tej drabinie na czworakach, bojąc się śmiertelnie, żeby nie wpaść do wody pluskającej bardzo głośno. Rozdzielono go z towarzyszem, a gdy zeszedł na dno tego statku, zdawało mu się, że serce w nim nagle zamarło.

Wtedy to także, jak mi opowiadał, stracił na dobre kontakt z jednym z trzech ludzi, którzy poprzedniego lata wędrowali po wszystkich miasteczkach u stóp wzgórz w jego stronach rodzinnych. Przyjeżdżali w targowe dni na chłopskim wózku i otwierali biuro w gospodzie albo jakimś innym żydowskim domu. Było ich trzech, jeden miał długą brodę i wyglądał czcigodnie; wszyscy mieli czerwone sukienne kołnierze na szyi i złote tasiemki na rękawach, jak państwowi urzędnicy. Siedzieli dumnie naokoło długiego stołu, a w sąsiednim pokoju, tak aby pospółstwo nie mogło słyszeć, trzymali chytrą maszynę od telegrafu, za pomocą której mogli rozmawiać z cesarzem Ameryki. Ojcowie trzymali się u drzwi, ale młodzież z gór gromadziła się naokoło stołu, zadając wiele pytań, bo w Ameryce można było dostać pracę jak rok okrągły po trzy dolary dziennie, a do wojska nie brali tam wcale.

— Ale amerykański cesarz nie każdego chciał wziąć, o nie! Jego samego przyjęto z wielką trudnością, a czcigodny człowiek w mundurze musiał kilka razy wychodzić z izby,

Chłop, Krzywda,
Kłamstwo, Bieda, Nadzieja,
Marzenie

aby telegrafować w jego sprawie. Wreszcie amerykański cesarz zgodził go za trzy dolary dziennie, zważywszy na jego młodość i siły. Lecz wielu zdolnych młodzieńców wycofało się, bojąc się wielkiej odległości; a przy tym tylko tych zabierano, którzy mieli pieniądze. Byli tacy, co posprzedawali swoje chaty i ziemię, bo jazda do Ameryki kosztuje mnóstwo pieniędzy; ale kiedy się już człowiek tam znajdzie, zarabia po trzy dolary dziennie, a spryciarze to potrafią wynaleźć miejsca, gdzie szczerze złoto można z ziemi podnosić. Jego rodzinny dom był już przepełniony. Dwóch jego żonatyh braci miało dzieci. Obiecał, że będzie im posyłał z Ameryki pieniądze dwa razy na rok. Ojciec sprzedał starą krowę, parę srokowych górskich kucyków własnego chowu, a duża polanka — piękne pastwisko na słonecznym zboczu wąwozu pokrytego sosnami — poszła w ręce żydowskiego szynkarza na zapłatę dla ludzi ze statku, którzy zabierają naród do Ameryki, aby się tam prędko bogacili.

Musiał to być zaiste prawdziwy miłośnik przygód, bo ileż największych przedsięwzięć dążących do podboju ziemi zaczęło się właśnie od takiego przehandlowania ojcowskiej krowy za miraż prawdziwego złota hen, daleko! Powtórzyłem panu mniej więcej własnymi słowami to, czego dowiedziałem się od niego dorywczo w ciągu dwóch lub trzech lat; rzadko kiedy ominąłem sposobność, aby z nim przyjaźnie pogawędzić. Opowiadał mi o tych swoich przygodach, błyskając białymi zębami, i rzucał żywe spojrzenia czarnymi oczyma; z początku mówił jakby jakimś stroskanym, dziecinnyim szczebiotem, potem, gdy już przyswoił sobie nasz język, wyrażał się bardzo płynnie, ale zawsze tym śpiewnym, miękkim, a zarazem dźwięcznym tonem, który nadawał dziwnie przejmującą siłę najpospolitszym angielskim wyrazom, jakby to były słowa jakiegoś nieziemskiego języka. W końcu wracał zawsze, kiwając wyraziście głową, do tego okropnego uczucia, kiedy serce w nim jakby zamarło, z chwilą gdy się znalazł na owym statku. Potem na jakiś czas stracił pewno zupełnie świadomość, w każdym zaś razie nie zdawał sobie sprawy z faktów. Musiał być z pewnością okropnie chory na morską chorobę i okropnie nieszczęśliwy. Ten łagodny i namiętny miłośnik przygód, odcięty od wszystkiego, co było mu bliskie, czuł gorzko, leżąc w emigranckiej koi, swoje zupełne osamotnienie, gdyż naturę miał niezmiernie wrażliwą. Dalej wiemy o nim jeszcze, że krył się na pastwisku dla świń u Hammonda, przy drodze prowadzącej do Norton, sześć mil od morza, jak strzelił. Nie lubił mówić o tych swoich przejściach; miałem wrażenie, że przeżarły mu duszę jakimś ponurym zwątpieniem i zgrozą. Z pogłosek obiegających okolicę jeszcze przez wiele dni po jego przybyciu wiemy, że ktoś nachodził w nocy rybaków w West Colebrook i straszyl ich, stukając mocno w obite deskami ściany chat i wykrzykując przenikliwym głosem dziwne słowa wśród nocy. Kilku z nich wyszło nawet na dwór, ale rozbitek zapewne uciekł, przejęty strachem przed ich szorstkimi, gniewnymi głosami, nawołującymi się w ciemnościach. Coś w rodzaju szału pomogło mu chyba dostać się na strome wzgórze w Norton. Jego to na pewno znalazł nazajutrz wczesnym rankiem — leżącego (zapewne w omdleniu) na przydrożnej trawie — woźnica z Brenzett i nawet zeskoczył, aby mu się przyjrzeć z bliska, lecz cofnął się potem onieśmielony jego zupełną nieruchomością i czymś dziwnym w wyglądzie tego włóczęgi, śpiącego tak spokojnie pod ulewą. Nieco później kilkoro dzieci wpadło do szkoły w Norton w takim strachu, że nauczycielka wyszła na dwór i ofuknęła z oburzeniem „okropnie wyglądającego człowieka” stojącego na drodze. Cofnął się o parę kroków, zwiesiwszy głowę, a potem nagle uciekł z nadzwyczajną chyżością. Furman od Bradleya rozwożący mleko na wózku nie taił, że ściągnął batem jakiegoś włochatego Cygana, który wyskoczył na drogę u zakrętu niedaleko Vents i chciał chwycić kuca za uzdę. Furman pomacał go batem jak się patrzy, a trafił akurat w twarz, tak że tamten rozciągnął się w błocie jeszcze prędzej, niż przedtem wyskoczył; ale kuc był bardzo nastraszony i z jakie pół mili nie dało się go osadzić na miejscu. Prawdopodobnie rozbitek próbował zatrzymać wózek, rozpaczliwie usiłując uzyskać jakąś pomoc i porozumieć się z kimkolwiek. Także trzech chłopców przyznało się później, że rzucali kamieniami na dziwnego włóczęgę, który przemoknięty, zabłocony i — jak się zdawało — porządnie pijany wałęsał się po wąskiej, głębokiej drodze koło wapniarni. Wszystko to omawiano w trzech wioskach przez szereg dni; ale mamy również niezawodne świadectwo Finnowej (żony woźnicy służącego u Smitha), która widziała, jak ów włóczęga przelazł przez niski murek otaczający pastwisko dla świń u Hammonda i zatoczył się prosto na nią, Finnową, głośno coś szwargocząc; już sam jego głos mógł

Słowo, Obcy

Obcy, Strach,
Okrucieństwo, Samotnik,
Błądzenie

człowieka przypawić o śmierć ze strachu. Finnova miała przy sobie dziecko w wózku; krzyknęła na włóczęgę, żeby sobie poszedł precz, a gdy mimo to podchodził coraz bliżej, uderzyła go odważnie parasolką po głowie i nie spojrzawszy za siebie ani razu, pobiegła z wózkiem jak na skrzydłach aż do najbliższego domu we wsi. Zatrzymawszy się bez tchu, zagadła do starego Lewisa tłukącego młotem kamienie; staruszek zdjął swoje olbrzymie okulary ochronne z czarnego drutu i dźwignął się na trzęsące nogi, aby spojrzeć w stronę, gdzie pokazywała ręką. Oboje ścigali wzrokiem postać człowieka biegnącego przez pole; widzieli, jak upadł, podniósł się i biegł znowu w kierunku New Barns Farm, potykając się i wymachując nad głową długimi ramionami. Od owej chwili człowiek ten jest już wyraźnie w sieci swego mrocznego i wrzuszającego przeznaczenia. Nie ma wątpliwości co do dalszych jego dziejów. Wszystko teraz jest pewne: okropny przestрах pani Smith; przekonanie Amy Foster, przy którym wytrwała nieugięte — mimo nerwowego ataku Smithowej — że „ten człowiek nie miał żadnych złych zamiarów”; irytacja Smitha (po jego powrocie z Darnford Market), gdy zastał psa zachrypniętego od szczekania, tylne drzwi domu zamknięte, żonę w histerycznym ataku; a wszystko to z powodu nieszczęsnego, brudnego włóczęgi, który — jak podejrzewano — zaczął się wśród stogów. Czyżby tak było naprawdę? Trzeba mu dać porządną nauczkę, żeby kobiet nie straszył.

Smith znany jest ze swej gwałtowności, ale stanął jak wryty na widok nieopisanego utyłanego w błocie stwora, który siedział ze skrzyżowanymi nogami wśród rozrzuconej słomy, kiwając się jak niedźwiedź w klatce. Podniósł się przed Smithem, milcząco; wyglądał od stóp do głów jak jedna masa błota i brudu. Smith sam na sam z tą zjawą między swymi stogami — wśród niepogody i zmierzchu, w którym rozbrzmiewało wściekle szczekanie psa — poczuł strach jak przed czymś dziwnym a niepojętym. Ale kiedy stwór rozdzielił czarnymi rękoma długie, poplątane loki zwisające mu na twarz — jak się rozsuwa dwie połowy firanki — i spojrzął na Smitha błyszczącymi, dzikimi oczyma, polyskując białkami, farmer osłupiał wobec dziwaczności tego niemego spotkania. Przyznawał się potem (gdyż historia ta była oczywiście przedmiotem rozmów w okolicy przez całe lata), że się cofnął, i to więcej niż o krok. Nagły wybuch szybkiej gadaniny bez sensu przekonał go od razu, że ma do czynienia ze zbiegłym wariatem. Wrażenie to właściwie nigdy się w zupełności nie zatarło. W gruncie rzeczy Smith do dziś dnia pozostał przy swym wewnętrznym przekonaniu, że ów człowiek miał źle w głowie.

Stwór podchodził coraz bliżej, szwargocąc w sposób bardzo niepokojący, a Smith (nie zdając sobie sprawy, że dziwaczna istota nazywa go „wielmożnym panem” i zaklina na imię Boga, aby nie odmówił strawy i schronienia), przemawiał do niego stanowczo, ale łagodnie, wycofując się jednocześnie na podwórze. W końcu schwytał w lot odpowiednią chwilę, rzucił się na wariata i wepchnął go na łeb na szyję do drewnutni, zasuwając natychmiast rygiel. Zrobiwszy to, obtarł pot z czoła, choć wieczór był zimny. Spełnił swój obowiązek wobec społeczeństwa, przymykając wędrownego i prawdopodobnie niebezpiecznego maniaka. Smith nie jest bynajmniej człowiekiem twardym, ale w jego mózgu nie mogło się nic pomieścić poza tym wyobrażeniem o obłądźcie. Za mało miał wyobraźni, aby zadać sobie pytanie, czy ten człowiek nie ginie przypadkiem z zimna i głodu.

Tymczasem maniak strasznie hałasował w drewnutni. Pani Smith krzyczała na górze, gdzie zamknęła się w swojej sypialni, a Amy Foster szlochała żałośnie u drzwi kuchennych, łamiąc ręce i pomrukując: „Nie trzeba tak robić! Nie trzeba!”. Wyobrażam sobie, że ten wieczór dał się Smithowi porządnie we znaki; jedna hałasowała na górze, druga na dole, a na dobytek ten obłąkańczy, niepokojący głos krzyczał uporczywie przez drzwi, podsycając jeszcze gniew farmera. Nie podobna mu było powiązać myśli o tym kłopotliwym wariacie z zatonięciem okrętu w Eastbay, o którym rozeszły się pogłoski na targu w Darnford. Sądzę, że człowiek zamknięty w drewnutni był tej nocy bardzo bliski szaleństwa. Nim jego podniecenie minęło i nim utracił przytomność, rzucał się gwałtownie w ciemnościach, tarzał się po jakichś brudnych workach i gryzł pięści z wściekłości, głodu, zimna, zdumienia i rozpacz.

Był to góral z wschodniego łańcucha Karpat, statek zaś — który zatonął poprzedniej nocy w Eastbay — był hamburskim statkiem dla wychodźców — przerażającej pamięci *Herzogin Sophie-Dorothea*.

W parę miesięcy później pojawiły się w gazetach sprawozdania złodziejskich „Agencji dla wychodźców”, rozwijających działalność wśród słowiańskiego włościanstwa z dalszych

Okręt, Katastrofa

provincji Austrii. Zamiarem tych łotrów było ovladnąć zagrodami biednej, ciemnej ludności i w tym celu sprzymierzali się z miejscowymi lichwiarzami. Wywozili swoje ofiary głównie przez Hamburg. Jeśli zaś chodzi o statek *Herzogin Sophie-Dorothea*, przypatrywałem mu się z tego oto okna, gdy wjeżdżał do zatoki pod skróconymi żaglami w pewne mroczne, groźne popołudnie. Stał na kotwicy ściśle według wskazówek mapy, naprzeciw budynku straży nadbrzeżnej w Brenzett. Przypominam sobie, że nim noc zapadła, wyjrzałem znów przez okno, aby popatrzeć na zarysy masztów i takielunku rysujące się ciemno i strzeliście na tle poszarpanych, mrocznych chmur, niby druga, drobniejsza wieżyczka na lewo od wieży kościelnej w Brenzett. Wieczorem podniósł się wiatr. O północy, leżąc w łóżku, słyszałem straszliwe porywy wichury i szum rozpetanej ulewy.

Mniej więcej w tym samym czasie wydało się strażnikom nadbrzeżnym, że widzą światła parowca nad kotwowskiem. Znikły po chwili, ale okazało się potem, że jakiś inny statek szukał także schronienia w zatoce w tę okropną, ślepią noc i ugodził niemiecki okręt w sam środek kadłuba („dziura — jak mówił mi potem jeden z nurków — że można by przez nią przepłynąć na barce z Tamizy”), a potem opuścił zatokę, nietknięty czy też uszkodzony, kto się kiedy tego do bada; ale uszedł niepostrzeżenie, nieznanym i złowrogim, aby zginąć tajemniczo na morzu. Nigdy się o tym statku niczego nie dowiedziano, a przecież taki krzyk i gwałt podniósł się wówczas na całym świecie, że byliby go wyszperali, gdyby istniał gdziekolwiek na powierzchni mórz.

Tajemnicza doskonałość i zatajone milczenie — jak po zręcznej popełnionej zbrodni — cechują tę morderczą katastrofę, która, jak pan sobie może przypomina, miała swego czasu okropną sławę. Najgłośniejsze krzyki na okręcie nie byłyby mogły dosięgnąć wybrzeża z powodu wichru, a na sygnały wzywające o pomoc czasu widać nie starczyło. Była to śmierć, która nie sprawiła żadnego zamieszania. Hamburski statek napełnił się wodą od razu i wywrócił się tonąc, tak że o świecie nawet końce masztów nie wystawały nad poziom zatoki. Zauważono naturalnie zniknięcie okrętu i z początku strażnicy nadbrzeżni przypuszczali, że powlókł się na kotwicy albo zerwał z łańcucha nocą i został zagnany przez wiatr na morze. Potem, kiedy się prąd odwrócił, rozbity statek trochę się widocznie przesunął i uwolnił niektóre z ciał, bo dziecko — małe jasnowłose dzieciątko w czerwonej sukience — przyplęnęło na brzeg na wprost wieży Martello. Po południu widać było na jakiejś trzy mile wzdłuż brzegu ciemne, bosc postacie, które się ukazywały i ginęły w kotłującej się pianie. Mijając drzwi gospody „Pod Okrętem”, postępowała długa procesja, w której niesiono na noszach, na rogożach, na drabinach — mężczyzn o nieokrzesanym wyglądzie, kobiety z surowymi twarzami, dzieci przeważnie jasnowłose — wszystkich sztywnych i ociekających wodą, aby ich ułożyć pokotem pod północną ścianą kościoła w Brenzett.

Według urzędowego sprawozdania ciało dziewczyneczki w czerwonej sukience jest pierwszym obiektem, który dostał się na wybrzeże z tego okrętu. Ale pacjenci moi spośród marynarskiej ludności West Colebrook poinformowali mnie nieoficjalnie, że bardzo wczesnym rankiem dwaj bracia — którzy zeszli nad morze, aby zobaczyć, co się dzieje z ich łódką wyciągniętą na brzeg — znaleźli dobry kawał za Brenzett zwykły kojec okrętowy, zupełnie suchy, leżący wysoko na brzegu z jedenastu utopionymi kaczkami. Rodziny tych ludzi zjadły kaczki, a kojec został porąbany toporem na paliwo. Nie jest wykluczone, że człowiek mógł dopłynąć do brzegu na tym kojcu, jeśli się znalazł na pokładzie w chwili wypadku. To jest możliwe. Przyznaję, że nie wygląda to prawdopodobnie; ale oto był wśród nas ten przybłęda i przez całe dni — gdzie tam, przez całe tygodnie — nawet nie powstało nam w głowie, że mamy wśród siebie żyjącą duszę, która ocalała w tej katastrofie. A sam rozbitek, nawet kiedy nauczył się mówić po angielsku, bardzo mało umiał nam opowiedzieć. Pamiętał, że czuł się już lepiej w ostatnich chwilach przed katastrofą (prawdopodobnie gdy okręt zarzucił kotwicę) i że ciemność, wiatr i deszcz tamowały mu oddech. Możliwe, iż owej nocy był jakiś czas na pokładzie. Ale nie zapominajmy o tym, że znajdował się w otoczeniu zupełnie sobie obcym, że cierpiał na morską chorobę i był zamknięty przez cztery dni na dole w międzypokładzie, a przy tym nie miał żadnego pojęcia o statku ani o morzu i dlatego nie mógł zdać sobie sprawy, co się z nim właściwie dzieje. Znał się z deszczem, wiatrem, ciemnością; rozumiał beczenie owiec i pamiętał swój ból, swoje nieszczęście i nędzę, swe żalosne zdumienie, że nikt jego niedoli nie widzi i nie rozumie, swą trwożę, gdy się przekonał, że wszyscy mężczyźni naokoło są źli,

Obcy, Miłosierdzie

a wszystkie kobiety okrutne. Prawda — zbliżał się do nich jako żebrak; ale w jego kraju, nawet jeśli nic żebrakowi nie dadzą, odzywają się do niego łagodnie. W jego stronach nie uczy się dzieci, aby rzucały kamieniami na tych, co błagają o litość. Strategia Smitha pokonała go doszczętnie. Drewnitnia miała okropny wygląd więzienia. Co też z nim teraz zrobią?... Nic dziwnego, że Amy Foster ukazała się jego oczom w aureoli świetlanego anioła. Myśli o nieboraku nie dawały spać dziewczynie i rano, zanim Smithowie wstali z łóżka, wymknęła się przez podwórze. Uchyliwszy drzwi drewnitni, zajrzała do środka i podała przybłądnie pół bochenka białego chleba — „takiego, jak to u nas jedzą bogaci” — zwykł był opowiadać.

Wówczas dźwignął się z wolna spomiędzy wszelakiego śmiecia, zdrętwiały, głodny, trzęsący się, nieszczęśliwy i nieufny. „Może to zjecie?” — zapytała swym łagodnym, nieśmiałym głosem. Wziął ją prawdopodobnie za jakąś „dziedziczkę”. Pożerał żarłocznie, a lzy padały na kromkę. Nagle puścił chleb, chwycił jej rękę i wycisnął na niej pocałunek. Nie bała się włóczęgi. Mimo jego okropnego wyglądu zauważyła, że jest przystojny. Zamknęła drzwi i wróciła z wolna do kuchni. Znacznie później opowiedziała to wszystko pani Smith, którą dreszcz przejmował na samą myśl, że owo stworzenie mogłoby jej dotknąć.

Przez ten akt miłosierdzia rozbitek dostał się z powrotem do ludzkiej społeczności i nawiązał stosunki ze swym nowym otoczeniem. Nigdy tego Amy nie zapomniał — nigdy.

Tego samego rana stary Swaffer, najbliższy sąsiad Smitha, przyjechał, aby udzielić mu rady, i skończyło się na tym, że zabrał z sobą przybłądę. Biedak stał potulny, chwiejąc się na nogach, pokryty warstwą na wpół zaschniętego błota, a tamci dwaj rozmawiali przy nim niezrozumiałym dla niego językiem. Pani Smith oświadczyła, że nie zejdzie na dół, póki ten szalenciec się nie wyniesie; Amy Foster śledziła ich z głębi ciemnej kuchni przez otwarte tylne drzwi, a on usiłował wykonać w miarę możliwości wszystko, co mu nakazywano na migi. Lecz Smith był pełen podejrzeń. „Proszę pana, niech pan uważa! Może to tylko podstęp z jego strony” — krzyknął kilkakrotnie ostrzegawczym tonem. Gdy Swaffer zaciął konia, oplakany stwór siedzący pokornie obok niego o mało co nie wyleciał przez tylne oparcie wysokiego, dwukołowego wózka — taki był osłabiony. Swaffer zabrał go wprost do domu. I wówczas właśnie ja pojawiłem się na scenie.

Zostałem wezwany przez staruszkę w bardzo prosty sposób: kiwnął na mnie palcem zza wrót swego domu, gdy zdarzyło mi się tamtędy przejeżdżać. Zeskoczyłem oczywiście z kabrioletu.

„Coś panu pokażę” — mruknął, prowadząc mnie do szopy stojącej w pobliżu zabudowań farmy.

Tam to zobaczyłem rozbitek po raz pierwszy w długiej, niskiej izbie, która stanowiła część budynku przypominającego wozownię. Całe ściany były bielone wapnem, a w jednej z nich, w końcu izby widniał mały, czworokątny otwór o brudnej, pękniętej szybce. Włóczęga leżał na wznak na posłaniu ze słomy pod paru końskimi derkami; miało się wrażenie, że zużył resztę sił na oczyszczenie się z błota. Nie mógł prawie wcale mówić; derki miał podciągnięte pod brodę, a szybki jego oddech i połyskliwe, niespokojne czarne oczy przypominały mi dzikiego ptaka schwytanego w sidła. Podczas gdy go badałem, stary Swaffer stał u drzwi milcząc i przesuwał palce po wygolonej wierzchniej wardze. Wydawszy kilka poleceń przyrzekłem, że przyślę butelkę z lekarstwem i naturalnie zadałem kilka pytań.

„Smith złapał go między stogami w New Barns — rzekł stary po swojemu, rozważnie i obojętnie, jak gdyby tamten był naprawdę czymś w rodzaju dzikiego zwierzęcia. — I w taki sposób dostał się do mnie. Dziwny okaz, prawda? Niech mi pan powie, doktorze — pan zwiedził przecież cały świat — czy pan nie myśli, że to coś w rodzaju Hindusa wpadło nam w ręce?”

Bardzo byłem tym wszystkim zdziwiony. Długie, czarne włosy przybłądy rozrzucone po słomianym posłaniu odbijały od oliwkowej bladości jego twarzy. Przyszło mi na myśl, że mógłby być Baskiem. Nie wynikało stąd koniecznie, aby umiał po hiszpańsku, ale mimo to wypróbowałem na nim kilka znanych mi słów hiszpańskich i usiłowałem także porozumieć się z nim po francusku. Dźwięki, które pochwyliłem, nachyliwszy ucho do jego ust, były dla mnie zupełną zagadką. Tegoż popołudnia młode panie z probostwa

Obcy, Kolonializm

(jedna z nich czytała Goethego ze słownikiem, a druga latami zmagala się z Dantem) przyszedłszy w odwiedziny do panny Swaffer usiłowały porozumieć się z włóczęgą po włosku i po niemiecku, stojąc na progu izby. Cofnęły się, nieco przestraszone potokiem namiętnych słów, którymi je powitał, odwróciwszy się na swej pryczy. Przyznawały, że jego mowa była przyjemna dla ucha, miękka, dźwięczna, ale — może w połączeniu z wyglądem chorego — brzmiała zastraszająco; takie te dźwięki były jakieś porywcze, takie niepodobne do wszystkiego, co się kiedykolwiek słyszało. Chłopaki ze wsi włożyły na ławkę, aby zajrzeć przez mały, kwadratowy otwór do środka wozowni. Każdy był ciekaw, co też Swaffer pocnie z przybłądą.

A Swaffer trzymał go po prostu u siebie.

Ludzie byliby uznali starego za dziwaka, gdyby go tak nie szanowano. Mówią o nim, że siaduje aż do dziesiątej godziny w nocy, czytając książki, i mówią także, iż bez wahania gotów jest napisać czek na dwieście funtów. A on sam mógłby panu powiedzieć, że ród Swafferów siedzi tu już od trzystu lat na własnej ziemi, między Colebrook a Darnford. Stary ma z osiemdziesiąt pięć lat, ale nie wygląda ani trochę starszej niż wtedy, gdy przyjechałem tu po raz pierwszy. To znakomity hodowca owiec, a poza tym prowadzi jeszcze rozległy handel bydłem. Jeździ na wszystkie jarmarki w promieniu kilku mil bez względu na pogodę; powozi schylony nisko nad lejcami, rzadkie jego, siwe włosy wiją się po kołnierzu ciepłego płaszcza, a zielony pled okrywa nogi. Spokój podeszłego wieku użycza powagi jego obojętności. Nie nosi zarostu; wargi jego są cienkie i wrażliwe; coś surowego i zakonnego w układzie rysów nadaje pewną podniosłość charakterowi jego twarzy. Wiadomo, że jeździł nieraz w deszcz całe mile, aby zobaczyć nowy gatunek róży w którymś ogrodzie lub olbrzymią głowę kapusty wyhodowaną przez wieśniaka. Pasjami lubi słuchać o rzeczach, które nazywa „cudzoziemskimi”, i lubi je oglądać. Może właśnie ta „cudzoziemskość” przybłądy wywarła wpływ na starego Swaffera. A może był to po prostu niewytłumaczony kaprys. Wiem tylko, że po upływie trzech tygodni spostrzegłem człowieka uznanego przez Smitha za wariata, jak kopał u Swaffera w ogrodzie warzywnym. Odkryto, że umie posługiwać się szpadlem. Kopał boso.

Czarne włosy spływały mu na ramiona. Przypuszczam, że to Swaffer dał mu starą perkalową koszulę w pasy; ale przybłąda wciąż miał jeszcze na sobie rodzime spodnie z brunatnego sukna (w których burza wyrzuciła go na brzeg), obciskające nogi na kształt trykotów; przepasany był szerokim skórzanym pasem nabijanym małymi krążkami z mosiądzu; a we wsi nie odważył się pokazać dotąd ani razu. Ziemia, na którą patrzył, wydawała mu się utrzymana starannie, niby grunty naokoło domu dziedzica; rozmiar koni pociągowych wprawiał go w zdumienie; trakty były jak spacerowe drogi, a wygląd mieszkańców, szczególnie w niedzielę, świadczył o dostatku. Przybłąda zastanawiał się, czemu ci ludzie mają tak twarde serca i takie zuchwałe dzieci. Dostawał swoją strawę u drzwi od tyłu, niósł ją oburącz do szopy i siedząc samotnie na pryczy robił znak krzyża, po czym zabierał się do jedzenia. Przed pójściem na spoczynek klęczał obok tej samej pryczy wśród wczesnego mroku krótkich dni, odmawiając głośno *Ojciec nasz*. Za każdym razem, gdy spotykał starego Swaffera, kłaniał mu się ze czcią w pas, a potem stawał wyprostowany; starszek zaś trzymał palce na górnej wardze, patrząc na niego badawczo w milczeniu. Kłaniał się nisko także i pannie Swaffer, która oszczędnie prowadziła ojcu gospodarstwo; była to czterdziestopięcioletnia kobieta o szerokich plecach, grubych kościach i siwych, spokojnych oczach; kieszeń od sukni miała zawsze pełną kluczy. Należała do kościoła anglikańskiego — jak twierdzono — (ojciec jej był natomiast kuratorem kaplicy baptystów); u pasa nosiła mały stalowy krzyżyk. Nie zdejmowała nigdy surowej czarnej sukni przez pamięć na jednego z niezliczonych Bradleyów z sąsiedztwa, za którego miała wyjść za mąż przed jakimś dwudziestu pięciu laty; był to młody farmer, który skręcił sobie kark na polowaniu w wigilię ślubu. Panna Swaffer miała obojętną twarz ludzi głuchych, mówiła bardzo rzadko, a wargi jej, cienkie jak u ojca, zdumiewały czasami tajemniczą ironią wyrazu.

Takim to ludziom przybłąda winien był posłuszeństwo. Przytlaczająca samotność zdawała się na niego spadać z ołowianego nieba podczas tej zimy bez słońca. Wszystkie twarze były smutne. Nie mógł mówić do nikogo i nie miał nadziei, iż kiedykolwiek kogo zrozumie. Zdawało mu się, że to są twarze ludzi z tamtego świata — ludzi umarłych — jak mi nieraz mówił całe lata później. Słowo daje, dziwię się, że nie zwariował. Nie wiedział,

gdzie jest. Gdzieś bardzo daleko od swoich gór — gdzieś nad wodą. Był bardzo ciekaw, czy to nie Ameryka?

Gdyby nie stalowy krzyżyk u pasa panny Swaffer — wyznał mi kiedyś — nie byłby wiedział, czy w ogóle znajduje się w kraju chrześcijańskim. Rzucał na ów krzyżyk ukradkowe spojrzenia i to go pocieszało. Wszystko tu było inne niż w jego ojczyźnie. Ziemia i woda były inne; nie spotykało się wizerunków Zbawiciela nad drogami. Nawet trawa była inna, a także i drzewa; wszystkie drzewa, prócz trzech starych norweskich sosen rosnących na kawałku łąki przed domem Swaffera, które przypominały mu ojczyznę. Wyśledzono go raz o zmierzchu, jak oparł czoło o pień jednej z nich, szlochając i mówiąc coś do siebie. Utrzymał później, że te świerki były mu jak bracia. Wszystko poza tym wydawało mu się obce. Niechże pan sobie wyobrazi życie tego rodzaju — mroczne, dławione przez wydarzenia powszedniego dnia jak przez senne zmory. W nocy, gdy nie mógł spać, myślał wciąż o dziewczynie, która dała mu pierwszy kawałek chleba zjedzony przez niego w tym obcym kraju. Nie była dla niego ani zła, ani okrutna i nie bała go się. Pamiętał jej twarz, jedyną zrozumiałą wśród wszystkich tych twarzy równie zamkniętych, równie tajemniczych i równie niemych jak twarze umarłych, którzy posiadają wiedzę dla żywych niedosięglą. Ciekaw jestem, czy to pamięć o jej współczuciu wstrzymywała go od podejrzenia sobie gardła? Ale dość tego! Jestem prawdopodobnie starym romantykiem i zapominam o wrodzonej miłości do życia, którą może zwyciężyć jedynie siła wyjątkowej rozpaczy.

Powierzoną sobie robotę wykonywał z inteligencją, która zadziwiła starego Swaffera. Z czasem okazało się, że umiał pomagać przy orce, doić krowy, karmić byki w cielętniku, że można się nim było wyręczać przy owcach. Zaczął też szybko chwytać pojedyncze słowa; i nagle, pewnego pięknego wiosennego poranku uratował od przedwczesnej śmierci wnuczkę starego Swaffera.

Młodsza córka Swaffera jest za Willcoxem, adwokatem i urzędnikiem magistratu w Colebrook. Regularnie dwa razy na rok Willcoxowie przyjeżdżają na kilka dni, aby być ze starym. Jedyne ich dziecko, dziewczyneczka niemająca jeszcze wówczas trzech lat, wybiegła sama z domu w białym fartuszkach i przebrnąwszy przez trawę ogrodu schodzącego tarasami, zleciała z niskiego murku, głową naprzód, do stawu, w którym pławiono zwykle konie na podwórzu...

Rozbitek był razem z woźnicą przy pługu i orał pole blisko domu. W chwili gdy zawracał, aby zacząć świeżą bruzdę, zobaczył przez szparę w bramie coś, co dla każdego innego człowieka byłoby tylko mignięciem czegoś białego. Ale on miał otwarte, żywe, dalekosiężne oczy, które zdawały się cofać i tracić zdumiewającą siłę tylko wobec ogromu morza. Chodził boso i wyglądał tak egzotycznie, jak tego tylko serce Swaffera mogło pragnąć. Zostawiwszy konie na zakręcie ku niezmiernemu niezadowoleniu woźnicy, puścił się długimi susami przez zorane pole; ukazał się nagle przed matką, wetknął jej dziecko w ramiona i odszedł wielkim krokiem.

Staw nie był bardzo głęboki, ale gdyby nasz rozbitek nie miał tak dobrego wzroku, dziecko byłoby marnie zginęło — udławiwszy się lepkiem błotem zaścielającym dno na głębokość stopy mniej więcej. Stary Swaffer wyszedł powoli w pole, czekał, aż pług się z nim zrówna, popatrzył długo na przybłądę i nie mówiąc ani słowa wrócił do domu. Ale od tego czasu strawę dla rozbitka stawiano w kuchni na stole; z początku panna Swaffer przychodziła, cała w czerni, i stawiała u progu z niezbadaną twarzą patrząc, jak przybłąda robi wielki znak krzyża, nim się weźmie do jedzenia. Zdaje mi się także, że od tego dnia Swaffer zaczął mu płacić stałą pensję.

Nie mogę opowiadać krok za krokiem dziejów naszego bohatera. Obciął sobie włosy; widywano go we wsi i na drodze krzątającego się przy robocie jak wszyscy ludzie. Dzieci przestały za nim wołać. Z czasem zdał sobie sprawę z różnic społecznych, ale przez długi czas dziwiło go nagie ubóstwo kościołów wśród takiego bogactwa. Nie mógł także zrozumieć, dlaczego kościoły w powszedni dzień są zamknięte. Nie ma tam przecież nic do ukradzenia. Czy chodzi o to, żeby ludzie za często się nie modlili? W tych czasach probostwo bardzo się interesowało rozbitkiem i zdaje mi się, że młode panie z plebanii starały się przygotować grunt dla jego nawrócenia. Nie mogły go jednak odzwyczaić od żegnania się znakiem krzyża, choć doprowadziły do tego, że zdjął z szyi tasienkę z paru miedzianymi medalikami wielkości sześciopensowej monety, małutkim metalowym krzyżykiem

Religia, Obyczaje, Obcy

i czymś w rodzaju czworokątnego szkaplerza. Powiesił to wszystko na ścianie obok łóżka i co wieczór słyszano, jak odmawiał *Ojciec nasz* niezrozumiałymi słowami, powolnym, żarliwym tonem, jak czynił to jego ojciec staruszek, klęcząc na czele wszystkich członków rodziny, i dorosłych, i dzieci, każdego wieczoru w życiu. Choć przybłęda nosił teraz przy robocie welwetowe spodnie, a w niedzielę ciemnopopielate tandetne ubranie, nieznanymi spotykający go na drodze odwracali się i patrzyli w ślad za nim. Jego cudzoziemskość miała szczególne, niedające się zatrzeć piętno. W końcu ludzie oswoili się z jego widokiem. Z nim jednak nie oswoili się nigdy. Szybki jego, lotny krok, smagła cera, kapelusz zsunięty na lewe ucho, zwyczaj noszenia podczas ciepłych wieczorów kurtki zarzuconej na jedno ramię na kształt huzarskiego dolmanu; sposób, w jaki skakał przez kładki, nie dla popisywania się zręcznością, ale po prostu, aby posuwać się naprzód — wszystkie te dziwactwa ściągały na niego pogardę i były kamieniem obrazy dla mieszkańców wsi. *Oni* nie leżeliby w trawie w obiadowej porze, wyciągnięci na wznak i zapatrzeni w niebo. Nie wałęsali się również po polach, wykrzykując żałosne melodie. Ileż razy z za grzbietu jakiegoś pochylego pagórka słyszałem jego wysoki głos, lekki i bijący w górę jak u skowronka, ale o rzewnym, ludzkim brzmieniu. Głos ten rozlegał się nad naszymi polami, które słyszą tylko śpiew ptaków. I nawet na mnie robiło to wrażenie. Ach! Człowiek ten niepodobny do nikogo serce miał niewinne, pełne dobrej woli, której nie potrzebował nikt, i jakby go przeniesiono na inną planetę — był oddzielony niezmierną przestrzenią od swej przeszłości i zupełną niewiedzą od tego, co go mogło spotkać. Jego szybki, żarliwy sposób mówienia po prostu raził każdego. „Takie porywcze lichy” — mówiono o nim. Pewnego wieczoru w oberży „Pod Czwórką Koni” przybłęda, napiwszy się trochę whisky, wyprowadził wszystkich z równowagi, śpiewając którąś z piosenek miłosnych swego kraju. Wsiadli na niego i to mu sprawiło przykrość; ale cóż, kiedy Preble, kulawy kołodziej, i tłusty kowal Vincent, a także i inne znakomitości — wszyscy pragnęli popijać wieczorne piwo w spokoju. Innym znów razem usiłował pokazać im, jak się tańczy. Kurz wznosił się kłębam z posypanej piaskiem podłogi, a on wyskakiwał prosto w górę wśród drewnianych stołów, uderzał piętą o piętę, kuczał przed starym Preblem, wyrzucając nogę przed siebie, wydawał dzikie i radosne okrzyki, zrywał się znów i wirował na jednej nodze strzelając palcami nad głową — tak że jakiś obcy woźnica, który popijał sobie coś w oberży, zaczął kłąć i wyniósł się do baru, trzymając w ręku swój półkwaterek. Ale gdy przybłęda wskoczył nagle na stół i tańczył w dalszym ciągu wśród szklanek, oberżysta się temu sprzeciwił. Nie potrzebował żadnych „cyrkowych sztuk” w swojej gospodzie. Przeszkodziło w tańcu przybłędzie. Cudzoziemiec pana Swaffera był już po paru kieliszkach i usiłował protestować; został wyrzucony przemocą; podbito mu oko.

Zdaje mi się, że odczuwał wrogość swego otoczenia. Ale był twardy zarówno na ciele, jak i na duchu. Tylko wspomnienie morza przejmowało go strachem — tą nieokreśloną grozą, która zostawia po sobie zły sen. Rodzinny jego dom był daleko, do Ameryki już mu się jechać nie chciało. Tłumaczyłem mu często, że nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie by można znaleźć złoto leżące na ziemi i wziąć je sobie bez trudu, po prostu schyliwszy się po nie. Więc jakżeby mógł wracać do domu z pustymi rękoma, pytał, kiedy tam sprzedali krowę, dwa kuce i kawał ziemi, żeby zapłacić za jego podróż? Czy jego napelniały się łzami; odwracał wzrok od olbrzymiego, iskrzącego się morza i rzucał się twarzą w trawę. Ale czasem przekrzywił zawadiacko kapelusz na głowie ze zwycięską miną i lekcewał się sobie swoją mądrością. Znalazł swą grudkę szczerego złota. Było to serce Amy Foster. „Serce złote i czułe na ludzką biedę” — mawiał tonem niewzruszonego przekonania.

Nazywał się Janko. Wyjaśnił nam, że to znaczy mały „John”, a ponieważ powtarzał bardzo często, że jest mieszkańcem gór, używając przy tym słowa brzmiącego w jego języku „góral”, więc też dostał to słowo za przydomek. Jedyny to po nim ślad, który następne wieki mogą odnaleźć w spisie małżeństw parafii. Stoi tam — Janko Góral — wypisane ręką proboszcza. Koślawy krzyżyk zrobiony przez rozbitka, krzyżyk, którego nakreślenie wydało mu się z pewnością najbardziej uroczystą chwilą w całej ceremonii, oto wszystko, co pozostało, aby uwiecznić pamięć jego imienia.

Konkury Janka trwały przez jakiś czas, począwszy od chwili, gdy zdobył niepewny punkt oparcia w naszym społeczeństwie. Zaczęło się od tego, że kupił w Darnford dla Amy Foster zieloną jedwabną wstążkę. Taki był zwyczaj w jego ojczyźnie. Kupowało się wstążkę w żydowskim kramie w dzień świąteczny. Nie sądzę, aby dziewczyna wiedziała,

Obcy, Obyczaj

Serce

Małżeństwo, Oświadczyły,
Rodzina, Obcy, Obyczaj

co ma z tym począć, ale Janko zdawał się myśleć, że jego uczciwe intencje nie mogą być źle rozumiane.

Dopiero gdy ujawnił swój zamiar ożenienia się, zrozumiałem w całej pełni, jak dalece był — czy mam użyć tego wyrazu? — odrażający dla całej okolicy z powodu tysiąca rzeczy błahych i nieuchwytnych. Pogłoska o jego małżeństwie wywołała poruszenie wśród wszystkich starych bab we wsi. Smith, natknąwszy się na niego w pobliżu farmy, obiecał, że łeb mu rozwali, jeśli go tam znowu spotka. Ale Janko podkręcił czarnego wąsika tak wojowniczo, a jego wielkie, czarne oczy zmierzyły Smitha tak groźnym spojrzeniem, że się skończyło na niczym. Smith powiedział jednak dziewczynie, że chyba straciła rozum, żeby się wiązać z człowiekiem, który ma z pewnością źle w głowie. Mimo to, gdy o zmierzchu rozległ się głos Janka gwizdzącego za sadem strofki dziwacznej, żalostnej melodii, Amy rzuciła, cokolwiek jej się zdarzyło mieć w ręku, odchodziła od pani Smith, nie wysłuchawszy jej do końca, i biegła na jego wezwanie. Smithowa wymyślała jej od bezwstydných dziewczek. Amy nic nie odpowiadała. W ogóle nie mówiła nic do nikogo i szła dalej swoją drogą, jak gdyby była głucha. Zdaje mi się, że tylko ona i ja na całą okolicę umieliśmy ocenić istotną piękność Janka. Był bardzo ładny, miał obejście pełne niezmiernego wdzięku i coś dzikiego w wyglądzie, jakby był leśnym stworzeniem. Matka Amy zawodziła nad nią złowieszczco, gdy dziewczyna miała wychodne i przysłała do rodziców. Ojciec był opryskliwy, ale udawał, że nie wie o niczym; i tylko Finnova powiedziała jej raz wyraźnie: „Ten człowiek, moja droga, zrobi ci jeszcze kiedy co złego”. Tak to szło coraz dalej. Widywano ich na drogach; Amy kroczyła ciężko w swym najpiękniejszym stroju — popielata suknia, czarne pióro, grube trzewiki, białe, bawełniane rękawiczki rzucające się w oczy już o sto jardów — a on z kurtką zarzuconą malowniczo na ramię stąpał u jej boku pełen galanterii i rzucał czule spojrzenia na dziewczynę o złotym sercu. Ciekaw jestem, czy zdawał sobie sprawę, jak była pospolita. Może nie umiał się połapać w typie tak różnym od tych, które zwykł był widywać, a może pociągnęła go boską cechą swego miłosierdzia.

Tymczasem Janko był w wielkim kłopotcie. W jego kraju prosi się jakiegoś starszego mężczyznę na dziewczosłęba. Nie wiedział, jak się do tego zabrać. Aliści pewnego dnia wśród stada owiec na polu (Janko był teraz u Swaffera młodszym owczarzem przy Fosterze), zdjął kapelusz przed ojcem Amy i poprosił pokornie o jej rękę. „Widzi mi się, że dość jest na to głupia, żeby wyjść za mąż za ciebie” — było całą odpowiedzią Fostera. „A potem — opowiadał Janko — wsadził kapelusz na głowę, spojrzał na mnie ponuro, jakby mnie chciał zarznąć, gwizdnął na psa i poszedł sobie, zostawiając mi wszystko na karku”. Naturalnie, że Fosterom nie poszła w smak utrata pensji zarabianej przez dziewczynę; Amy oddawała matce wszystkie swoje pieniądze. Ale poza tym tkwił w Fosterze bardzo istotny wstręt do tego małżeństwa. Przyznawał, że przybłęda doskonale umie sobie radzić z owcami, ale mimo to uważał, iż nie jest odpowiedni na męża dla żadnej dziewczyny. Po pierwsze chadza wzdłuż żywopłotów, mrucząc coś pod nosem jak skończony wariat, a po drugie ci cudzoziemcy obchodzą się nieraz bardzo dziwnie z kobietami. A nuż będzie chciał ją gdzieś wywieźć — albo też sam ucieknie. To nie jest bezpieczne. I Foster kładł w głowę swojej córce, że od tego człowieka może ją spotkać krzywda. Nic się na to nie odzywała. Opowiadano sobie po wsi, że tak wygląda, jakby jej Janko czegoś zadał. Wszyscy rozprawiali na ten temat z wielkim przejęciem, a tych dwoje nadal „chodziło razem” na oczach opozycji. Nagle wydarzyło się coś niespodzianego.

Nie wiem, czy stary Swaffer zdawał sobie sprawę, do jakiego stopnia jego cudzoziemski sługa odnosił się do niego jak do ojca. W każdym razie stosunek ich był w pewien interesujący sposób feudalny. Toteż gdy Janko poprosił formalnie o rozmowę — „i żeby panienka także przy tym była” — (nazywał surową, głuchą pannę Swaffer po prostu *panienką*) — okazało się, że chce uzyskać pozwolenie na ożenek. Swaffer wysłuchał go z niewzruszoną miną, odprawił skinieniem głowy, po czym krzyknął to, co usłyszał, w lepsze ucho panny Swaffer. Nie była tym zaskoczona i rzekła tylko ponuro głuchym, bezbarwnym głosem: „Żadna inna dziewczyna z pewnością by go nie chciała”.

W kilka dni potem okazało się, że Swaffer darował Jankowi chatę (tę samą, którą pan widział dziś rano) i coś około morgi gruntu — przekazał mu to na bezwzględną własność. Cała zasługa tej hojności spada na pannę Swaffer. Willcox sporządził odpowiedni akt

i pamiętam, jak mi mówił, że przygotowywał go z wielką przyjemnością. Dokument tak się zaczynał: „W uznaniu zasługi ocalenia życia mojej ukochanej wnuczce, Bercie Willcox”.

Naturalnie, że po tym fakcie żadna siła ludzka nie mogła zapobiec ich małżeństwu.

Amy była wciąż ślepo zakochana. Widywali ją ludzie, jak wychodziła wieczorami, aby się spotkać z przybłądą. Wpatrywała się bez mrugnięcia urzeczonymi oczami w stronę, skąd miał nadejść swobodnym krokiem, kołysząc się w biodrach i nucąc jakąś piosenkę miłosną swego kraju.

Kiedy im się urodził chłopiec, Janko podchmielił sobie w gospodzie „Pod Czwórką Koni”, spróbował znowu śpiewać i tańczyć, i został znów wyrzucony. Ludzie uzalali się nad losem kobiety zaślubionej temu „diablikowi z pudełka”. A jemu było wszystko jedno. Istniał już teraz na świecie człowiek (powiedział mi to z przechwałką), któremu mógł śpiewać i do którego mógł mówić w swoim ojczystym języku — a z czasem po trosze uczyć go tańca.

Nie wiem doprawdy — ale zaczęło mi się wydawać, że chód Janka staje się mniej sprężysty, ciało ociężalsze, a oczy mniej przenikliwe. Może to było przywidzenie; teraz myślę, że już wówczas sieć losu zaczęła się wokoło niego zacieśniać.

Pewnego dnia spotkałem go na ścieżce wijącej się po wzgórzu Talford. Powiedział mi, że „kobiety są dziwne”. Słyszałem już przedtem o nieporozumieniach między nimi. Ludzie opowiadali, że Amy Foster zaczyna rozumieć, za jakiego człowieka poszła. Patrzył na morze obojętnymi, niewidzącymi oczami. Żona wyrwała mu raz dziecko z rąk, gdy siedział na progu, nucąc pieśń, którą matki śpiewają dzieciom w jego górach. Zdawała się myśleć, że on wyrządza dziecku jakąś krzywdę. Kobiety są dziwne. I nie chciała, żeby się Janko modlił głośno wieczorem. Dlaczego? Spodziewał się, że z czasem chłopiec będzie powtarzał za nim głośno pacierze, tak jak i on je odmawiał za starym ojcem — jako dziecko — w swym kraju. Stało mi się jasne, że Janko z tęsknotą czekał, aż syn jego podrośnie, by mieć z kim rozmawiać w tym języku, który dla naszych uszu brzmiał tak niepokojąco, tak namiętnie i tak dziwacznie. Dlaczego żonie ta myśl się nie podobała, nie umiał mi powiedzieć. Ale utrzymywał, że to minie. I przechyliwszy znacząco głowę, uderzył się z lekka w piersi dając do zrozumienia, że Amy ma dobre serce: ani twarde, ani okrutne, zdolne do współczucia, miłosierne dla biednych!

Odszedłem w zamyśleniu; zastanawiałem się nad tym, czy jego odrębność i jego obcość, które z początku tak pociągały tę tępą naturę, teraz nie przejmują jej odrazą. To mnie zaciękawiało...

Kennedy podszedł do okna i patrzył na chłodną wspaniałość morza — olbrzymiego we mgle — które jak gdyby ogarniało całą ziemię ze wszystkimi sercami zatraconymi wśród uniesień miłości i trwogi.

— Otóż fizjologicznie — rzekł, odwracając się nagle — było to możliwe. To było możliwe.

Jakiś czas milczał. Potem ciągnął znów dalej:

— Tak czy owak, gdy zobaczyłem go następnym razem, był chory — jakaś płucna historia. Organizm miał silny, ale myślę, że nie zaaklimatyzował się tak dobrze, jak przypuszczałem. Zima była ciężka, poza tym ci górale miewają od czasu do czasu ataki nostalgii; a takie stany depresji czynią człowieka podatnym na choroby. Leżał wespół ubrany na dole, na tapczanie.

Stół nakryty ciemną ceratą zajmował cały środek małego pokoju. Stała tam kołyska pleciona z wikliny, kocioł buchający parą na blasze, a na kracie przed kominkiem suszyło się trochę dziecinnej bielizny. W pokoju było ciepło, ale jak pan pewnie zauważył, drzwi wychodzą prosto na ogród.

Miał silną gorączkę i wciąż coś mrucał pod nosem. Amy siedziała na krześle i poprzez stół wpatrywała się w niego brunatnymi, mętnymi oczami.

„Dlaczego on nie leży na górze?” — zapytałem.

Drgnęła i odrzekła, jękając się nieśmiało:

„Ach, proszę pana doktora, ja bym nie mogła wysiedzieć z nim tam na piętrze”.

Dałem jej parę wskazówek i powtórzyłem wychodząc, że powinien leżeć w łóżku na górze. Załamała rękę.

„Nie mogę. Nie mogę. On w kółko coś mówi — a ja nie wiem co”.

Obcy, Mąż, Żona, Dziecko,
Słowo

Obcy, Słowo, Strach

Mając w pamięci wszystko, co kładziono jej w głowę o tym człowieku, przyjrzałem jej się uważnie. Patrzyłem w jej krótkowzroczne oczy, w te nieme oczy, które raz w życiu dostrzegły kształt powabny, lecz teraz wytrzeszczone na mnie zdawały się nic już nie widzieć. Spozstrzegłem, że Amy się niepokoi..

„Co mu jest? — spytała z pewnego rodzaju bezmyślnym przestraczem. — Nie wygląda na bardzo chorego. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak wyglądał...”

„Czy myślisz — zapytałem z oburzeniem — że on udaje?”

„Nie mogę się od tego powstrzymać, proszę pana doktora — odpowiedziała tępo. Nagle splotła dłonie i spojrzała w prawo i w lewo. — A tu jeszcze i dziecko. Tak się boję. Chciał właśnie przed chwilą, żebym mu dała dziecko. Nie mogę zrozumieć, co on do dziecka mówi”.

„Czy nie można by poprosić kogoś z sąsiadów, żeby przyszedł na noc?” — zapytałem.

„Proszę pana doktora, zdaje mi się, że nikt by przyjść nie zechciał” — mruknęła, poddając się nagle bezmyślnej rezygnacji.

Powtórzyłem z naciskiem, że chory potrzebuje najtroskliwszej opieki, po czym musiałem odejść. Tej zimy ludzie chorowali często.

„Ach, żeby on już tylko nie mówił” — wykrzyknęła po cichu w chwili, gdy odchodziłem.

Nie wiem, jak się to stało, że tego nie przewidziałem — ale nie przewidziałem. Jednak odwróciwszy się na dwukółce, zobaczyłem, że Amy wciąż jeszcze stoi nieruchomo przy drzwiach, jak gdyby się zastanawiała, czy nie uciec po błotnistej drodze.

Pod wieczór gorączka Janka się podniosła.

Przewracał się na posłaniu, jęczał i od czasu do czasu mruczał jakieś skargi. A ona siedziała oddzielona stołem od łóżka, śledząc każdy jego ruch i każde słowo; przerażenie, bezsensowne przerażenie przed tym człowiekiem, którego nie mogła zrozumieć, zaczynało ją ogarniać. Nie było już w niej teraz nic więcej prócz macierzyńskiego instynktu i tej niepoczytalnej trwogi.

Odzyskując nagle przytomność, Janko spieczonymi ustami poprosił o wodę do picia. Amy nie poruszyła się wcale. Nie rozumiała go, a on prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, że mówi w swoim języku. Rozpalony gorączką, czekał i patrzył na nią, dziwiąc się jej nieruchomości i milczeniu — wreszcie krzyknął niecierpliwie: „Wody! Daj mi wody!”.

Zerwała się z krzesła, chwyciła dziecko i stanęła bez ruchu. Mówił do niej, a jego namiętne wyrzuty powiększały tylko jej strach przed tym dziwnym człowiekiem. Zdaje się, że długi czas do niej mówił, błagając, dziwiąc się, zaklinając, rozkazując — tak sobie to wyobrażam. Opowiadała mi, że znosiła to tak długo, jak tylko mogła. Wreszcie ogarnęła go wściekłość.

Usiadł na łóżku i krzyknął groźnie jakieś słowo — jedno jedyne. Potem — opowiadała — podniósł się, jakby wcale nie był chory. I gdy w gorączce, w przestraczu, zdumiony i pełen oburzenia usiłował zbliżyć się do niej, obchodząc stół dokoła, otworzyła po prostu drzwi i wybiegła na dwór z dzieckiem na ręku. Słyszała, jak krzyknął za nią dwa razy straszliwym głosem — i uciekła... Ach! Gdyby pan widział zza tępego, zmęczonego spojrzania tych oczu widmo trwogi, które owej nocy ścigało Amy przez trzy i pół kilometra aż do drzwi chaty Fostera! Ja nazajutrz to widmo widziałem.

I właśnie ja znalazłem Janka leżącego twarzą do ziemi — w kałuży — tuż za furtką z wikliny.

Wezwano mnie tej nocy do wsi w jakimś nagłym wypadku; wracając do domu o świcie, przejeżdżałem koło ich chaty. Drzwi stały otworem. Mój furman pomógł mi wnieść Janka do izby. Położyliśmy go na posłaniu. Lampka kopciła, ogień pod blachą wygasał. Smutny żółty papier na ścianach zionął chłodem burzliwej nocy.

„Amy” — krzyknąłem głośno, a głos mój zdawał się gubić w pustce tego małego domku, jak gdybym wołał na puszczy.

Janko otworzył oczy.

„Uciekła! — rzekł wyraźnie. — Prosiłem ją tylko o wodę — o trochę wody...”.

Był powalany błotem. Nakryłem go i stałem przy nim, czekając w milczeniu; od czasu do czasu dochodziło mnie jakieś słowo wyszeptane przez niego z trudnością. Nie mówił już swoim językiem. Gorączka go opuściła, zabierając z sobą żar życia. Z dyszącą pierśią

Słowo, Obcy, Strach,
Okrucieństwo, Rozpacz,
Samotność, Śmierć

i połyskliwymi oczyma przypominał mi znowu dzikie stworzenie w sieci, ptaka schwytanego w sidła. Amy go opuściła. Opuściła go — chorego — bezsilnego — spragnionego. Włócznia łowcy utkwiała w samej duszy Janka.

„Dlaczego?” — krzyknął głosem przejmującym i oburzonym, głosem człowieka wolażącego do swojego Stwórcy. Odpowiedział mu plusk deszczu i poryw wichury.

Kiedy się odwróciłem, aby zamknąć drzwi, wymówił słowo: „Miłosierny!” i skonał.

Stwierdziłem ostatecznie, że bezpośrednią przyczyną jego śmierci był atak sercowy. Serce musiało rzeczywiście mu nie dopisywać, bo inaczej byłby mógł przetrzymać do świadczenia owej burzliwej nocy. Zamknąłem mu oczy i odjechałem. Niedaleko od chaty spostrzegłem Fostera idącego żwawo wśród żywopłotów ociekających kroplami deszczu; jego owczarski pies biegł za nim.

„Czy wiecie, gdzie jest wasza córka?” — spytałem.

„Jakżebym nie wiedział — wykrzyknął. — Idę właśnie powiedzieć mu parę słów do słuchu. Żeby też biedną kobietę tak nastraszyć!”

„Już jej więcej straszyć nie będzie — rzekłem. — Nie żyje”.

Foster stuknął kijem w błoto.

„A tu jest jeszcze i dziecko”.

Po chwili głębokiego zastanowienia dodał:

„Może to i lepiej”.

Oto dosłownie, co powiedział. A ona wcale już teraz o Janku nie mówi. Ani słowa. Nigdy. Czyżby jego wizerunek tak zupełnie opuścił jej duszę, jak giętka, posuwista jego postać i rozśpiewany głos opuściły nasze pola? Nie ma go już przed jej oczami; nie ma kto pobudzać jej wyobraźni do namiętnej miłości lub strachu; a wspomnienie o nim znikło, rzekłbyś, z jej tępego mózgu jak cień, który przesunął się po białym ekranie. Amy mieszka w tej samej chacie; panna Swaffēr dostarcza jej pracy. Wszyscy nazywają wdowę po Janku „Amy Foster”, a dziecko „chłopcem Amy Foster”. Matka nazywa go Johnny — co znaczy Janko.

Nie podobna powiedzieć, czy jej to imię coś przypomina. Czy Amy myśli kiedy o przeszłości? Widziałem ją schyloną nad kołyską małego z namiętą czułością macierzyńską. Malec leżał na wznak; bardzo był cichy i bał się mnie trochę; jego wielkie, czarne oczy i spłoszony wygląd przypominały ptaka schwytanego w sidła. A gdy tak na niego patrzyłem, wydało mi się, że widzę znowu tamtego — ojca — którego morze wyrzuciło tajemniczo, aby zginął wśród najstraszniejszej niedoli — wśród samotności i rozpacz.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/conrad-amy-foster>

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, *Opowieści wybrane*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1952.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Publikację wsparli i wsparły: Magda Zielińska, Lidka W-N, Tony, Pauka, FongSaiYuk, Marzanna, Sheyme, pepso, Masija, Anna Wójcik, Przemek Kowalewski.

ISBN 978-83-288-0126-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).